

M.B.
im.
L.W.

odgłosy



nr 32

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 5 października 1958 r.

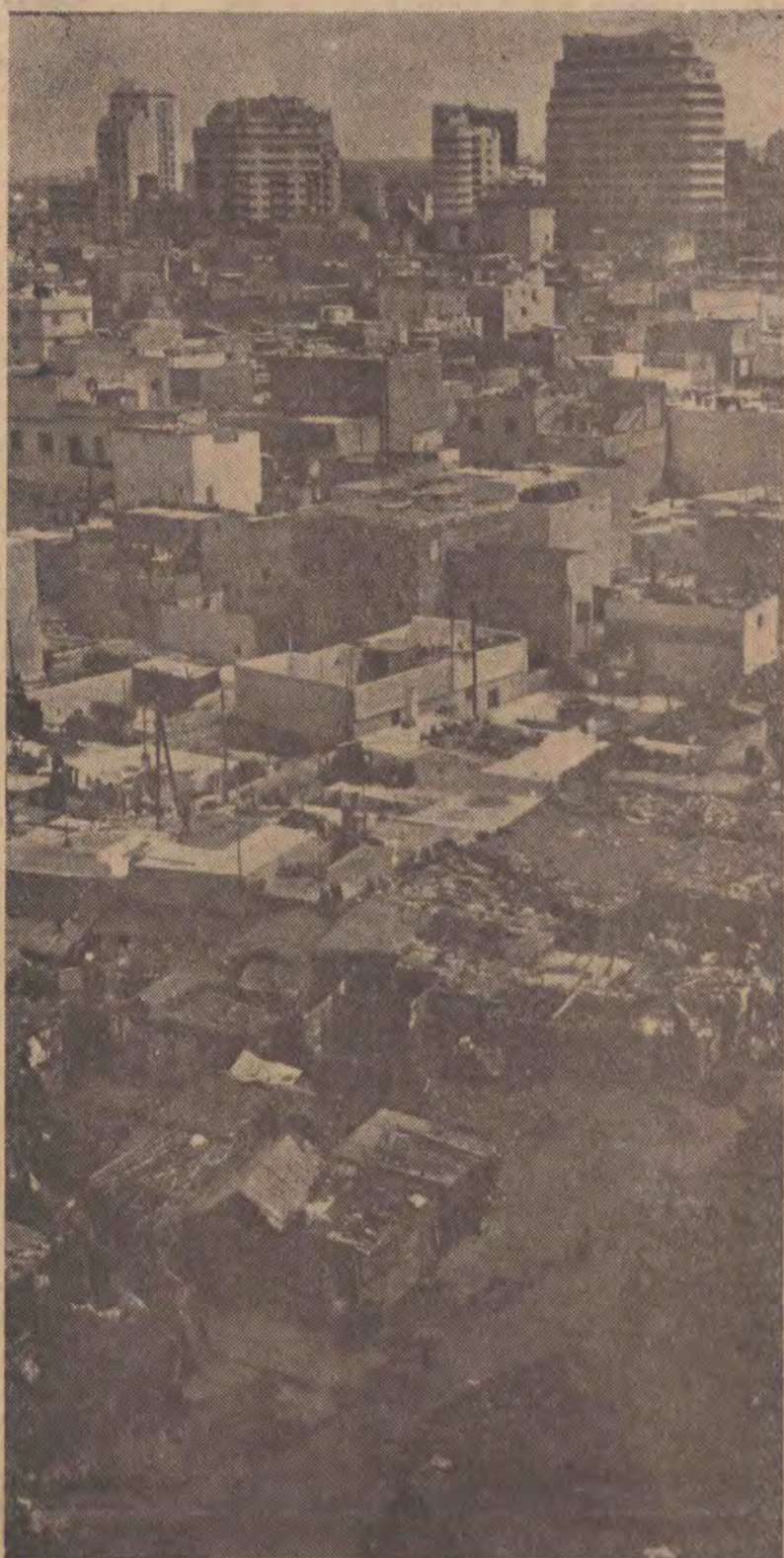
DZIS w numerze



ŁUDZIE i RENTY



Reportaż o doli i niedoli rencistów na str. 5



KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

WYPROWADZANI Z ZIEMI EGIPSKIEJ

Jest to pierwszy z reportaży tego autora z jego podróży na BLISKI WSCHÓD, pisanych specjalnie dla „ODGŁOSÓW”

KORESPONDENCJA WŁASNA „ODGŁOSÓW” Z KAIRU

Był to piątek, dziewiętnastego września — a więc mahometańska niedziela. W meczetach Kairu panował tłok, muezzini wrzeszczeli i zawodzili bardziej jeszcze głośnie niż zwykle. W słynnej kawiarni u Gropiego siedzieli jak zawsze turyści, egipscy intelektualiści i burżuazja. Przez mosty wiodące na nilową wyspę Zamalek, gdzie mieszczą się ambasady, rezydencje cudzoziemców i bogactwa egipskie, ciągnął — jak zwykle — nieprzejeźdźny sznur samochodów, tak gęsty, że trzeba było czekać piętnaście i więcej minut, aby zdołać się weń wcisnąć. Zebracy atakowali przechodniów z jeszcze większą zawziętością, niż w dni powszednie. Dzieci wybierały z kurzu kairskich ulic — a jest to najokropniejszy kurz na świecie — niedojezione daktyle i polykaly je nie zdmuchnąwszy nawet brudu. W obozie wojskowym, położonym tuż u stóp piramid i na ich tle, żołnierze ćwiczyli chwyt bronią odwróciwszy się tyłem do grobowca faraona Cheopsa. Kair, miasto zachwycające i prze-

DALSZY

CIĄG

NA STR.

4

MIASTO POSZUKUJE TWARZY

NA STR. 3



WIESŁAW i GLADYS

NA STR. 7



ASPAZJA

NA STR. 9

GAUDEAMUS

O to otwierają się bramy. Czerni tóg i biel studenckich czapek, brzęk tradycyjnych łańcuchów, głosy doświadczenia przemieszane z głosami młodości. To pierwszy dzień października, pierwszy dzień roku akademickiego. Dzień immatrykulacji. Dzień składania i przyjmowania życzeń. Dzień rozpoczęcia dobrej roboty. Semestry, trymestry, egzaminy, prace w laboratoriach, zażarte walki z opornym tekstem i z oporną materią — to są sprawy dnia jutrzejszego. Dzień dzisiejszy jest dniem uroczystym.

Te zdania, tak patetyczne, na pewno są tu na miejscu. Uniwersytet jest instytucją szacowną i poważną i powagą, którą cechuje wielka surowość. Pewna doza sztuczności jest tu nawet konieczna. Ale jest to doza niezmiernie mała. I niezbędna, bo u podstaw instytucji uniwersytetu leży tradycja wielowiekowa. Nawet dzień rozpoczęcia, dzień pierwszy, jest na uczelni tylko dniem kontynuacji. Bo tu nie zaczyna się na nowo. Tradycja pielęgnowana jest z rozwagą, ze spokojną wiedzą. I nie jest to tradycja — a składają się na nią tak wzorce myślowe, jak i wzor-

ce obyczajowe — martwa. Uniwersytet jest i być musi bastionem tradycji, nawet jeśli jest uczelnią tak młodą jak Uniwersytet Łódzki.

Co roku, pierwszego października, tradycja zostaje zaatakowana przez element młodości. Ten element, to białe czapki, głosy niedoświadczonych, umysły rozpalone, wzorce nieznane. Następuje proces przystosowania. Czy jest to proces przystosowania wzajemnego? Czy wzorce zostaną

Dokończenie na str. 3

LU- DZIE i RENTY

JESIEŃ ŻYCIA

Gdy wejdiesz do parku, skręć w pierwszą, boczną alejkę. Zobacysz tam ludzi o zmęczonych twarzach. Przyjrzyj im się dobrze. A jeżeli, siedząc na ławce, obok usłyszysz przypadkowo banalne wspominki o pogodzie, czy zbyt szybko zagubionej młodości, nie sądzić, że ci ludzie powiedzieli już wszystko o życiu.

Spójrz na przygarbioną sylwetkę staruszki w wyszarzonym płaszczu. Widzisz? Ona krząc wókol, czeka aż zwolni miejsce na ławce. Co dzień przed szóstą przychodzi do parku, siada na ławce tuż przy wejściu, a w kilka minut później obok niej przykucnie druga siewiuteńka staruszka, wsparta na lasce, okryta wyblakłym prochocem. Porozmawiają o marach nocnych, o pogodzie i bez uśmiechu rozejdą się. Za godzinę usiądą znów na ławce, tylko że w innym kącie parku, po to, by ze słowami: „Jak ten dzień szybko zleciał” pójść w swoje strony.

Staruszka przyjmuje zdziwieniem mój przydługi odpoczynek na ławce. Wreszcie siada opodal i otwartą zniszczoną torebkę, kawalkami odłamuje małe kęsy suchego chleba. Na widok przechodnia, bezżębne usia zatrzymują się wyczekująco. Czasem tylko, związując tuż, tuż ponad głowę ciszę, zakłóci przechodzące dziecko, na widok którego oczy staruszki nabierają cieplejszego wyrazu, a ręce wykonują jakieś bezładne, nerwowe ruchy. Dopiero przyścisnę przyjaźniółki, wspartej na la-

seczce, przynosi jej widoczną ulgę. Przybyła ciężko osiada na ławce i reumatycznymi palcami pociera obrzękłe nogi.

— Przyszłam odpocząć.
— Zalatwiła pani?

— O nie. Tam pełno ludzi czeka. Może dziś zalatwi. Wczoraj pożyczylam trzydzieści złotych, na dziś jeszcze wystarczy. Tylko, co będzie jutro? Ja bym i o wodzie wytrzymała, ale Andrzej potrzebuje, to przecież dziecko. Mój Boże, gdyby moja córka — nieboszczka — wiedziała, że jej dziecko własny ojciec wypędzi za drzwi... Kiedyś, wracając ze szkoły, chciał u niego przeczekać deszcz, wypędził, wypędził bez litości. Może nie byłby taki zły, gdyby nie macocha. Boi się, żeby jej dzieciom nie brakło.

— To dobrze, moja droga, że ma pani Andrzeja przy sobie. Zawsze we dwoje raźniej. Mnie nawet nie pozwalają przewinąć małego, a on taki podobny do mojego Stasia... Od kiedy przeszłam na rentę, wszystko co robię w domu, jest niedobrze. I nie tak jakby ona chciała. Już wolę wyjść z domu, tak jakbym szła do pracy, żeby tylko Stasiowi nie dokuczała. Jak wracam do domu, zatrzymuję się w bramie, na wprost fabryki i patrzę na tych, którzy wracają z pracy. Ja już nikomu w życiu nie jestem potrzebna. Wie pani, boję się, że teraz, kiedy rentę dali, to... wcześniej umrę.

Łagodna jesień, pierwsze liście spadające z drzew, dwie staruszki w parku tworzą jakąś tradycyjną, znaną od lat harmonię. Na jej dnie trwa dramat. Synowa nie uznaje teściowej, macocha wyrzuca dziecko. Stare dziecko! Ale sprawa renty gra w tym wszystkim decydującą rolę.

POGRZEBY BEZ KOLEJKI

Gmach Prez. MRN przy ul. Parkowej, Wydział Rent. Jak najgrzeczniej zapytany na parterze portier już w wstępie ofuknął mnie:

— W sprawie rent? Na tablicy nie pisze, co?

Na piętrze ludzie walają się, odczytują wywieszki, niepewnie zaglądają do pokoi, zatrzymują zaferowanych urzędników. Przed okienkiem z napisem „Informacja” czekam jako czterdziesty któryś z rzędu. Brak krzesel, parapety okien zatłoczone.

Większość spośród obecnych, to starcy, albo ludzie młodzi o naznaczonych chorobą twarzach, kalecy. Jedną chęć oddać tylko wymagane zaświadczenie, inni ponaglić przyznanie renty jeszcze inni użalić się na jej niską granicę: „...mój znajomy, z którym razem pracowałem, dostaje więcej niż ja”. Zresztą, to nie jest istot-

ne, że w okienku udziela się informacji, wydaje i przyjmuje zaświadczenia, istotne jest to, że się czeka. A czeka się długo, godzinę, dwie, cztery, czeka się dni i tygodnie.

Po godzinnym oczekiwaniu ludzie stają się swarliwi. Co rusz w innym końcu korytarza wybucha kłótnia. Jakaś staruszka w eleganckim, czarnym kostiumie, bezskutecznie przeciska się do okienka, tłumacząc: „tylko zaświadczenie, bo mój mąż, prawda, był radcą i...”. Ludzie są nieustępliwi, jedni przez drugich wykrzykują: „...My też tylko! Patrzcie ją, damo!”. I uspokojeni powracają do przerwanych opowieści. Oto starymka, trzęsącym się głosem opowiada o tym, jak macocha wypędziła jej wnuczkę, a rentę po synie zabiera, inna znów o sąsiadce-staruszce, leżącej w łóżku, w sprawie której przesyła... Opowiadają, opowiadają, póki nowa sprzeczka nie zakłóci spokoju. Kobieta z opaską żałobną bezradnie wykrzykuje: „Puśćcie ją w sprawie pogrzebu. Ludzie kochane, ciało nie może leżeć!”. Pani z okienka, autorytatywnym głosem kładzie kres kłótni:

— Pogrzeby bez kolejki!

Gwar milknie, ale tylko na chwilę.

— Jak tu wyżyć z tego, co dają?...

— Przedtem były mniejsze renty i nie narzekał pan — wtrąca któraś z rezolutnych urzędniczek.

— Co to jest 500 zł?

— Pięćset i...

— E, tam, w porównaniu z przedwojennymi...

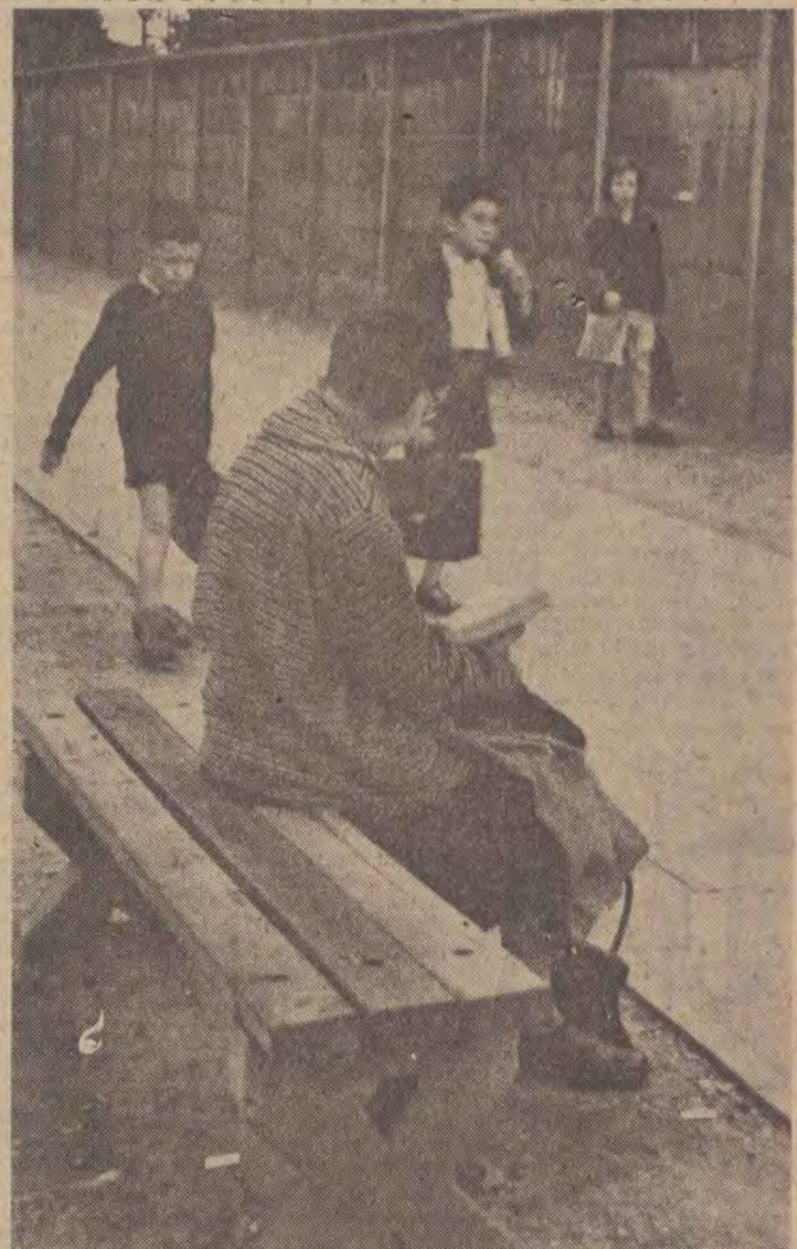
— Proszę przepuścić! Pogrzeby bez kolejki — upomina pani z okienka.

RENTA MA GORZKI SMAK

Spoglądam teraz na interesantów z drugiej strony, siedzę w pokoju obok urzędniczki. Przewijające się sylwetki interesantów w czworokątym obramowaniu wydają się inne, jak gdyby zostały gdzieś w kącie swojej zadziorności, stroją pokorne miny. Każde słówko, przedwcześnie zbierają z ust urzędniczki i pytając proszą, prosząc pytają.

— Następny proszę, następny proszę — machinalnie powtarza urzędniczka; z nawału pracy niezdolna jest do sentymentów. A niewiasta za okienkiem wciąż uporczywie twierdzi, że jej sprawę już jedenaście miesięcy zalatwiają.

— To wykluczone — zaprzecza urzędniczka — może pani miała skierowanie na komisję?
— No tak, ale przecież to trze-



ba jakoś szybko, bo z czego żyć? Dostałaś, mamu, rentę, to ci naszej pomocy nie trzeba — mówią mi dzieci. — Z czego ja mam żyć?

Doznają czegoś w rodzaju skurczu serca. Państwo broni spokojnej starości po pracowitym życiu, podwyższa renty. Ale smak renty staje się gorzki po jedenastu miesiącach oczekiwania.

— Musi pani jeszcze troszeczkę poczekać. Zrobię pilną notatkę. My naprawdę jesteśmy przepracowani. Niechże pani zrozumie, że 60 tysięcy spraw trzeba było przesłuchać po podwyżce rent, a ile tysięcy nowych, czy wznowień... — z rozbrajającą szczerością tłumaczy urzędniczka. Ale kobieta nie chce zrozumieć, ona zna tylko

własne troski i swoje długie, długie czekanie.

— Następny, proszę...

— Może pani mnie zalatwi, ja nie mogę tak długo... — trzęsącym się głosem prosi starzec proteżę zastępującą mu lewą rękę.

— Tutaj nie zalewiamy! Do okienka proszę — ucina krótko pani w okularach.

— Tam tyle ludzi, bardzo proszę.

W okienku młoda kobieta w czarnej chustce o twarzy wykrzywionej rozpaczą.

— To był mąż?

— Tak. Pozostało dziecko — zacierwione oczy wilgotnieją — proszę pani, co zrobić, ksiądz nie wystawił rachunku?
Zza okna dochodzą niedwuznaczne pomruki.

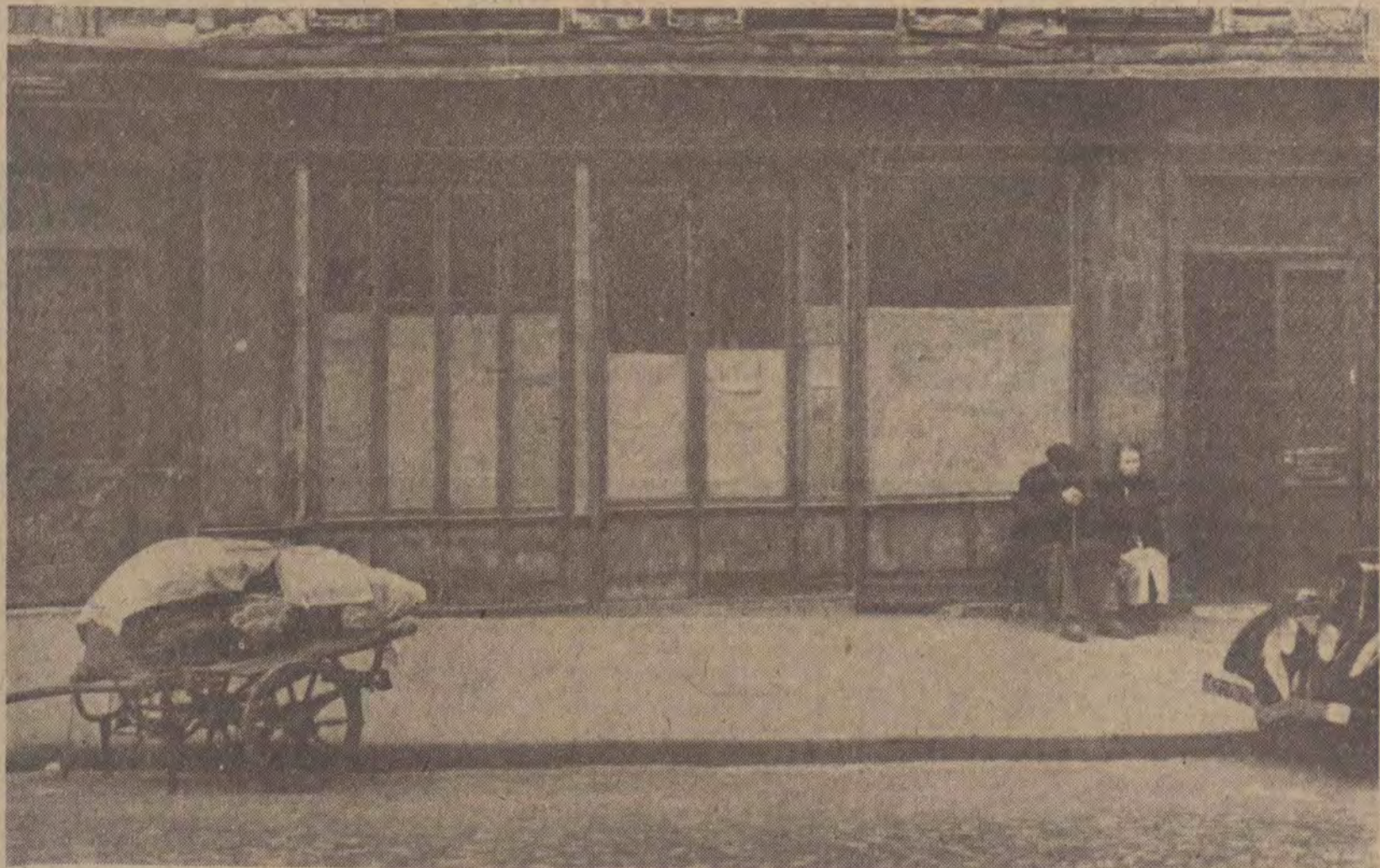
URZĘDNICZY BEZ URLOPÓW

Przed pokojem 195 w oddziale wypłat — jeszcze większa liczba interesantów. Tutaj ludzie są bardziej nerwowi, chodzi o pieniądze. I znów prośby, prośby, narzekania.

— Ja nie wyjdę stąd, jak nie dostanę renty! Trzy miesiące chodzę i żebrzę. Ostatnio powiedział mi, że do 25 dostanę i... nie — na wstępie rozpoczyna jedna z interesantek.

— Czy tu zawsze tylu interesantów? — pytam urzędniczkę.

— Po ostatniej podwyżce jest tak, nasilenie. Tysiące rent wstrzymaliśmy, gdyż renciści nie dopełnili warunków, a ile nowych spraw! My nie mamy czasu na wypoczynek, o urlopach to się nawet nie mówi. Codziennie do domu bierzemy dziesiątki spraw, jednak ludzi tego nie widza, nie rozumieją. A przychodzą tutaj w różnych sprawach, często słusznych, ale i są tacy, którym nie zgadza się o jedną złotówkę, we-



Dokończenie na str. 8

IGRASZKI Z ŻYCIEM

Smierć bohaterów czyni milczeniem i muzyką. Muzyką uczcił śmierć bohatera Richard Aldingtona). Skomponował symfonię na śmierć bohatera. Jego książka ma, przynajmniej w założeniu i patetycznej intencji autora, cechy muzycznej kompozycji. Aldington podzielił ją na trzy części, każdej nadając tempo w przyjętej powszechnie



włoskiej terminologii muzycznej. Muzyczność kompozycji podkreśla także specjalnie i konsekwentnie przeprowadzona metoda pisarskiej retrospekcji. O tym, że bohater zginął dowiadujemy się już na początku książki.

MARIAN PIECHAL

W OBRONIE NADZIEI

Jeszcze przed kilku laty nazywano ich znacznie łagodniej: pesymistami, katastrofistami, defetystami, gascielami złudzeń, zatrutymi śmiercią. Uważano bowiem, że są nieszczęśliwymi ofiarami przeżyć i porażek psychicznych ostatnich dwóch wojen. Ale dziś już chyba nikt przy zdrowym rozsadku nie będzie w ten sposób rozgrzeszał tych, którzy z własnej choroby (rzeczywistej, urojonej czy tylko wzmówionej) usiłują uczynić normę, zasadę, a nawet światopogląd i narzucić go innym. Którzy z własnej niewiary we wszystko czynią absolutny dogmat niewiary w sens życia. Którzy własną filozofię nihilizmu przemieniają w praktyczną religię swoistego cynizmu. Życie sprowadzają do cmentarza, a nicosć uważają za ostateczny sens i wynik życia. W ich języku takie pojęcia jak wiara, przekonanie, dążenie, miłość, to nie nie znaczące, pozabawione jakiegokolwiek treści, puste dźwięki, to przelewanie z próżnego w próżne. A już ze szczególną zacietością tropią nienawistne im pojęcie nadziei. Gdzie mogą, gaszą

str. 6 **odgłosy**

Jest to niejako zasadniczy motyw muzyczny. Potem pisarz cofa się, aby przeprowadzić swego bohatera przez zmienne koleje losu, aż do chwili ostatecznej. I tutaj motyw ów pojawia się kilkakrotnie, aby na ostatniej stronie zażbrnąć najmocniejszym akordem. Jerzy Winterbourne nie należy w pełni do kręgu bohaterów typu Raskolnikowa, Stawrogina czy Kirilowa. To wymaga bliższego wyjaśnienia. Otóż Winterbourne nie jest człowiekiem o cechach niezwykłych, wyjątkowych, o jakiejś wykrzywionej psychice. Owszem, ma on wszelkie cechy człowieka normalnego — nienormalna, niezwykła jest tylko jego śmierć. Tu jest jakiś punkt styczny.

Powieść Aldingtona należy do licznej dosyć grupy powieści pacyfistycznych, które powstały po pierwszej wojnie światowej. Należy do grupy powieści tego typu, co „Na zachodzie bez mian” Remarque’a czy „Sól ziemi” Wittlina. Jest to książka napisana przez pisarza z pokolenia E. Hemingwaya, a więc „pokolenia straconego”, które wiało wiele nadziei z I wojną światową, ale wyszło z niej ostatecznie zniszczone. Książka Aldingtona swego czasu na Zachodzie była bez mała wydarzeniem literackim. Siłą z jaką autor oskarża wojnę, jego pasja pisarska świadczy o wielkim zaangażowaniu w sprawach, o których mówi. Jego pisarski pazur dotyka także spraw nieco ubocznych jak np. problem małżeństwa, rodziny, mentalności angielskiej. Nade wszystko jednak interesuje go sprawa wojny; wojny jako absolutnego bezsensu, jako czynności urągającej godności człowieka, jako zjawiska wyniszczającego fizycznie i moralnie poszczególne indywidualności ludzką.

Tę wszechstronną potworność wojny, uzasadniają losy Jerzego Winterbourne’a; jest to młody człowiek — ani mądrzejszy ani głupszy od tysiąca innych młodych ludzi. Próbuje malować, nie posiada zbyt dużo pieniędzy, żyje z kobietą, później ją poślubia, ona go zdradza i on ją zdradza. Aż nagle idzie na wojnę. I tutaj — jak chce tego Aldington — zaczyna się adagio powieściowe. Zmienia się rytm czasu. Zaczyna się musztra, przychodzi łaźnia żołnierska, wsi maszerują po ciele, przychodzi tykanie gazu i sen w okularach przeciwwzrostowych. Trzeba czuć i czyścić broń, opędzać się od szczurów i chować w okopie. I oto — proszę sobie wyobrazić — młody człowiek, któremu się poszczęściło, gdyż dostał a-

wans i wysłano go na roczne przeszkolenie daleko poza linię frontu — ten człowiek, którego nie miała się śmierć, który przeszedł przez całe już prawie piekło wojny musi umrzeć.

Czy musi? Otóż nie musi, wcale nie musi. Nieprzyjacieli otwiera morderczy ogień karabinów maszynowych. Oficerowie i żołnierze padają i kryją się, gdzie kto może. Wystarczy bykło przeczekać. Za chwilę przyjdą posiłki, które zniszczą gniazdo karabinów maszynowych i oto wtedy Jerzy Winterbourne nie wytrzyma. Nie może dłużej leżeć. Podrywa się i biegnie naprzeciw morderczego deszczu pocisków. Swoją szalony odruch przypłaca życiem.

Aldington pisze gdzieś w środku książki, że w śmierci Winterbourne’a było coś tajemniczego. Śmierć Winterbourne’a, choć z pozoru wydaje się czymś rzeczywistym dziwnym i psychologicznie nieuzasadnionym, ma jednak mocne psychologiczne przesłanki. Był to człowiek, który nie wytrzymał piekielnego ciśnienia wojny. Był to człowiek, na którego świat zwał się zbyt ciężko ze wszystkim, co ma najgorsze. Był to człowiek protestujący paradoksalnym gestem ciała, obdarzonego przecież jak najbardziej ludzkim instynktem samozachowawczym.

Zagrały fanfary, oddano honorową salwę, spuszczone trumnę, rodzina otrzymała telegramy. Zginął bohater.

Aldington, zagniewany młody pisarz krzyknął światu swój protest. Czy był to krzyk donośny, czy nie stłumiły go lata? Przekonajcie się o tym sami. Przeczytajcie powieść Aldingtona.

*) Richard Aldington — Śmierć bohatera.



ją. Są programowymi i zaprzysiężonymi wrogami nadziei.

Pewnie, że w życiu nie ma aniołów. Ale z tego wynika, że nie ma także i diabłów. Ziemia, na której żyjemy, nie jest bynajmniej niebem, ale to nie znaczy, że musi być piekłem. Na tym padole leż niczego nie spotykamy w czystej postaci, lecz w powikłaniu, w zmieszaniu, w rudzie, z której w móżole wytapiać nam przychodzi czyste grudełki metalu. Na tym właśnie polega cały sens życia ludzkiego, jego urok i nadzieja. Stefan Żeromski powiedział, że „z duszą ludzką związaną jest dobro i zło jak z

ciałem naszym ręka prawa i lewa”. Czy jest sens oddać prawą rękę i posługiwać się tylko lewą?

A tak zdają się robić, to znaczy pisać, swoje dzieła tacy pisarze — statnio u nas modni, choć bynajmniej nie na Zachodzie i nie na całym świecie, jak przede wszystkim Franz Kafka i jego epigoni, jak w pewnej mierze Jean Paul Sartre, Albert Camus, Eugène Ionesco i Samuel Beckett. Wszyscy oni piszą lewą ręką, oczywiście w znaczeniu merytorycznym nie artystycznym, gdyż są wysokiej miary talentami. A to tym gorzej dla ich dzieł, a właściwie dla czytelników

WIERSZE



Z miasteczek, po których zostały nazwy tylko
z wiklin nadbrzeżnych, gdzie błyszczały oczy wilkom
z wieczorów, zalewających jesienne sady
z pól, znaczonych rdzą, tratowanych przez grady
Z dni zadusznych, z leśnych dróg i poręb
z obłoków, mknących nisko nad jeziorem
Z zamyśleń, z goryczy trwałej przemijania
z tego, co dym oddała i przesłania



Sobie samemu na imieniny

Inni ordery, ja gwiazdy wolę,
gdź ich nie trzeba czyścić sidłem!

Dla innych uścisk ręki ministra,
a dla mnie obłok i rzeka bystra.



Lecz — prócz obłoków i bystrej rzeki —
zdalby się także los bardziej lekki.

Więc niech depesze idą z Warszawy,
zaś ton ich będzie błagalno-lzawy:

„Szanowny panie, gdzie felietony
i gdzie artykuł nam przyrzeczony?”

Niech o kolegach piszą petitem,
borgisem o mnie i tłustym przy tem.

Niech mnie „Czytelnik” jak swego wita,
o rękopisy niekiedy pyta.

Niech nieprzychylni mi recenzenci
chodzą egzemą, różą dotknięci...

Niech, prócz obłoku i bystrej rzeki,
do banku miewam czasami czeki!

Gdy zaś obrywać nadal mam guzy,
choć bzu gałązkę rzućcie mi, Muzy!

VI. 1955.

Przelotnie widzianej

W śródmieściu, w gwarnym upale
szła, kolyszając się niedbale,
a tak, jakby była pustka:
tylko lok jej, oczy, chustka.

Masże, kobieto, sumienie?
Jakże można być tak piękną?
Piersi, niezwykle zdarzenie!
Nogi? Może gibkie pretły?
Gdyby w lesie, las by klęknął
rzeski rankiem, wypoczęty.

Lecz tu głośniki, nie ptaki,
Nagrane płyty chodnika.
Zwyczajnie oczom umykasz!
Piękna, gdzie los twój i jaki?



ich dzieł. Co w nich znajdują? Tylko piekło i tylko diabła. Ich pomysły, idee, ich ludzie mają tylko jedno skrzydło. Stąd nie stać ich na wysoki lot, zaledwie podrywają się od ziemi, kręcąc chwilę około siebie samych i zapadają — w nicosć. Gdybyż to chociaż były upadki i karowe. Ale Ikar miał bądź co bądź dwa skrzydła i leciał do słońca. A ci przebywają wiecznie w cieniu własnego czarnowidztwa.

Można zresztą rozmaitymi filozofiami tłumaczyć dzieła Kafki, taki np. jego „Proces”, „Zamek” lub „Przemianę”, ale z punktu widzenia interesu życiowego, po-

trzeby właściwej wiedzy o sobie samym i o świecie normalnego czytelnika, to przecież nieprawda. Kto uległ perwersji i pożąda władzy, znajdzie ją tutaj właśnie w formach najbardziej rozwlekłych. Jako kliniczny objaw — owszem. Jako norma, jako nowa propozycja widzenia świata i człowieka w literaturze — absurd.

Tak samo nie do przyjęcia są propozycje norm, jakimi chcą „wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu” Eugène Ionesco i Samuel Beckett. „Krzesła” i „Czekamy na Godota” robią, owszem, dość mocne wrażenie. Ale jakiej natu-

ry? Tej niższej, na pewno. Napluć na cały świat i na każdego człowieka z osobna, uczynić z niego zwierzę.

Przeczytałem ostatnio trzy nowele Becketta, pięknie przetłumaczone przez Julliana Rogozińskiego. Przykra lektura. I w końcu tylko świetna literacka ocena świata przy pomocy bredzeń i przypadkowych skojarzeń ostatnich wyrzutek i mełow społecznych: pijaka, narkomana i zwyrodniałego lumpa.

A co za obrazy roztaczają przed nami Sartre i Ca-

— 79 —



Któregoś dnia odwiedziła nas Latona oświadczając, że królowa zaprasza nas wszystkich na wieczorne przyjęcie. Rozładowało to od razu złą i pełną napięcia atmosferę.

Straciłszy się szereg godzin, a nawet Safronów już nie wstydził się usługujących pszczół.

Dużą, barwną grupą szliśmy do Partenonu. Cóż to za zachwycający budynek! Nie wiem, czy wnętrze tego pałacu-swiątyni jest urządzone ściśle według wzorów klasycznych, w każdym razie sale te robią majestatyczne wrażenie, a posąg Pallas Ateny króluje wszędzie. Sądzę, że niektóre z tych sal są urządzone na wzór zamierzchłych greckich domów w starożytności. Być może są to wzory z domu Peryklesa lub Aspazji. Zamiast jednak pięknych Greczynek i urodziwych Greków, witały nas zastępy standardyzowanych pszczół-robotów.

Wprowadzono nas do sali, gdzie wielki stół biesiadny był zastawiony antycznymi naczyńkami: talerzami, dzbanami, wazami, kielichami, a krzesła z wysokimi oparciami przykryte były twardymi poduszkami. Ściany malowane zapewne według wielkich mistrzów, przedstawiały sceny z mitologii: Demeter, nimfy, satyry, nereidy. Pod jedną ze ścian stały dwie wspaniałe, marmurowe statuy: Perykles i Aspazja. Nad nimi unosiła się Pallas Atena. W rogach sali stały złote odbicia jakichś naszych poprzedników — byli nadzy, piękni i smutni, czoła ich wieńczyły liście laurowe. W pobliżu naszego stołu bił kolorowy wodotrysk cały uwieczniony girlandami kwiatów.

Weszła królowa Aspazja we wspaniałej sukni ze złotego brokatu, przepłatanej zielonymi jedwabnymi niciami. Na złotych włosach miała wieniec z jakichś niezwykłych, jasnozielonych kwiatów, nieco podobnych do naszych róż. W rękę trzymała swoje fosforyzujące, zielone berło. Za nią szedł jej ukochany kot.

Staliśmy wokół stołu. Wszystkie spojrzenia były utkwione w jej twarzy. Czy znów będzie w stosunku do nas tak nieprzyjazna jak podczas audiencji?

Orkiestra złożona z kilkudziesięciu pszczół zagrała jakąś jednostajną, prostą i dość zrozumiałą melodię. Zauważyłem, że pszczoły grają nie tylko na swoich elektrycznych klarinetach, ale mają również coś w rodzaju lir, fletów i cytr o 16 strunach. Być może więc była to jakaś oryginalna, starogrecka muzyka.

Królowa Aspazja wzięła do ręki kryształowy kielich wykładany złotem, wzniosła go do góry i uśmiechnęła się do nas przyjaźnie. W oczach jej pojawiły się jakby iskierki sympatii, a nawet czegoś więcej, jakiegoś przyjemnego ciepła. W tej atmosferze serca nasze rozjaśniały, poczuliśmy się nieskończenie radośni i szczęśliwi.

— Jestem królową pszczół — powiedziała swoim głębokim, urzekającym głosem. — Jest u nas taka odwieczna tradycja: od czasu do czasu królowa pszczół odbywa swój weselny lot. Jest to lot miłości i wywołania. Jest to lot przebaczenia i zapomnienia. Dzisiaj jest taki czas. Czas miłości i szczęścia. Niech więc nic innego nie będzie prócz miłości i szczęścia. Niech zapanuje miłość i zapomnienie, moi przyjaciele z dalekiej Ziemi. Całkowite zapomnienie i wielka miłość! Niechaj się spełni cud miłości!

Wzniosła do góry swój wspaniały kielich, rzucający tęczowe blaski w jasnozielonym oświetleniu sali.

Profesor Latona, w szerokiej, zielonej todze, stała za jej krzesłem i tłumaczyła jej słowa.

Zwróciłem uwagę, że z lewej strony każdego z nas znajduje się jedno wolne miejsce. To mnie dziwiło. Dla kogo mogło być ono przeznaczone?

Wzniesliśmy wszyscy kielichy do góry, a ona podziękowała nam ciepłym uśmiechem i wdzięcznym skłonieniem swej złotistej głowy.

Skinęła berłem i powiedziała:

— Aby wam te chwile umilić i dać pełne złudzenie mojej miłości, kazałam moim pszczołom odbić siebie w tylu egzemplarzach, ilu was tutaj jest — tak, aby każdy z was miał swoją towarzyszkę i abym to ja była tą towarzyszką. Królowe są tak doskonałymi kopiami — mnie samej, że nie zdolacie znaleźć żadnej różnicy. Proszę więc pamiętać, że każda z nich — to ja sama!

— 80 —



Królowa wzniosła berło ponad głowę. Zastłona nad wysokimi drzwiami unosiła się i zaczęły przez nią wchodzić, jedna za drugą, duplikaty królowej Aspazji. Weszło ich dwadzieścia cztery. Wszystkie były tak samo piękne i tak samo „magnetyczne”. Tak samo były ubrane, takie same posiadały berła, taki sam czar niewysłowiony bił z ich postaci.

Później każda z nich stanęła koło któregoś z nas, uśmiechnęła się, objęła mocnym i ciepłym uściskiem, pocałowała w usta... i tak się zaczęła nasza uczta weselna.

Tak więc ucztowaliśmy w towarzystwie najpiękniejszych kobiet Kosmosu, na Marsie, w Partenonie, z pomnikiem Pallas Ateny dłuta Fidiasza przed oczami, wśród greckiej zastawy, ubrani w greckie stroje i słuchaliśmy greckiej mowy z ust królowych i Latony.

Ponieważ Latona już nie nadała tłumaczyć, więc porozumiewaliśmy się na migi lub w naszym języku uniwर्सum, który królowe trochę znały.

Piliśmy wino, o którego smaku, kolorze, zapachu i działaniu w ogóle nie warto opowiadać, bo tego nikt nie zrozumie. Jedliśmy poirawy, w których były zaklęte wszystkie najlepsze smaki świata.

Moja Aspazja, która siedziała z lewej strony i którą od czasu do czasu obejmowałem, tuliłem do siebie i całowałem, powiedziała mi, że to wino i miód liczą około miliona lat i pochodzą z epoki i produkcji dawnych, żywych pszczół.

Nasze towarzyski były uległe i czarujące. To były jakieś odmienione Aspazje. Każdy z nas w swojej partnerce odnajdywał wymarzony i upragniony ideał kobiety. Byliśmy w nich zakochani nie na życie, a na śmierć samą. I nie dziwiło nas to wcale, że jest ich tak dużo — identycznych. Niech jutro będzie, co ma być, choćby największa klęska i zagłada — dziś życie jest jak wieczność, bo szczęście jest bezgraniczne.

Wznosiliśmy coraz to nowe toasty i nasze Aspazje coś nam odpowiadały. Całowaliśmy je i tuliiliśmy do siebie i one całowały nas, obejmowały i tuliły. — Kto jesteś? — szeptałem głosem zduszonego namietnością do ucha mej towarzyski. — Czy jesteś Marsjanką? Czy kobietą Ziemi? Twe ciało jest przecież tak piękne i tak ziemskie. Czy jesteś Aspazją, czy jakąś złudą? Dlaczego jesteś tak podobna do tych innych kobiet? Co wiesz o świecie naszym... O miłości? Czy będziesz mnie jutro jeszcze kochała?

— Wszystko wiem, wszystko rozumiem — szeptała mi moja ukochana. — Nie pytaj mnie więcej o nic, tylko kochaj mnie... całuj i pieść...

Światła powoli gasły i pszczoły odprowadzały nas do naszych wielkich, prawie pustych sal.

* * *

Nie wiem, ile czasu minęło, ani która była godzina. Nie wiem też, czy to był dzień, czy noc, bo sztuczne słońca płonęły tu zawsze. Zbudziło mnie czyjeś dotknięcie. Stała nade mną Latona w tej samej zielonej tunice i todze, w której była na uczcie, i gestem wzywała, bym wstawał.

Zerwałem się z posłania zupełnie przytomny i z uczuciem głębokiej tęsknoty spostrzegłem, że nie ma już mojej Aspazji obok mnie.

Narzućcie na siebie swój niebieski strój, zawiązałem sandały i prędko poszedłem za Latona. Minęliśmy szereg korytarzy, w których gdzieś stały nieruchome, jak mi się zdaje, „wyłączone” pszczoły. Weszliśmy do jakiegoś sali, w której był Townsend. Po chwili zjawił się admirał w towarzystwie pszczoły.

— Niestety, tylko jeden z was może być uratowany — powiedziała Latona. — Wszystko jest przygotowane do ucieczki. Admirał poprzednio już porozumiewał się z waszą rakieta. Na wzgórzach Krzyża i Gwiazdy czeka wasz samolot.

— Pszczoła ta — mówiła wskazując na owada — nie jest robotem, lecz jedną z prawdziwych, żywych pszczół naszej kolonii. Nazywa się Uun. Postanowiła poświęcić się i dostarczy jednego z was na to wzgórze. Admirał wie, o co chodzi.

Rzuciłem wzrokiem na naszego dowódcę i zdziwił mnie jego wygląd. Spojrzenie miał dzikie, błę-

— 81 —



ny wyraz twarzy, był blade i poraniony, na głowie miał ekwawiony bandaż; jego wielkim ciałem wstrzasały dreszcze.

— Teraz proszę prędko postanowić, kto z was ma uciekać — powiedziała Latona.

— Ja nie! — odpowiedziałem bez namysłu.

— Ja też! — zakomunikował stanowczo Townsend.

— W takim razie — oświadczyła Latona — muszę wam zdradzić jeszcze jedną tajemnicę Marsa.

Utkwiłszy w jej bezkrywistych wargach przerażony wzrok, czując, że zwali się na nas jakieś nowe nieszczęście.

— Królowa Aspazja nie jest człowiekiem — powiedziała drewnianym głosem. — Nie jest również pszczołą, nie jest kobietą, nie jest istotą żyjącą. Jest taką samą maszyną-automaatem, jak tu wszystko na Marsie. Jest to naczelny senhen... robot najwyższej kategorii. Czy nie domyślaliście się tego od początku?

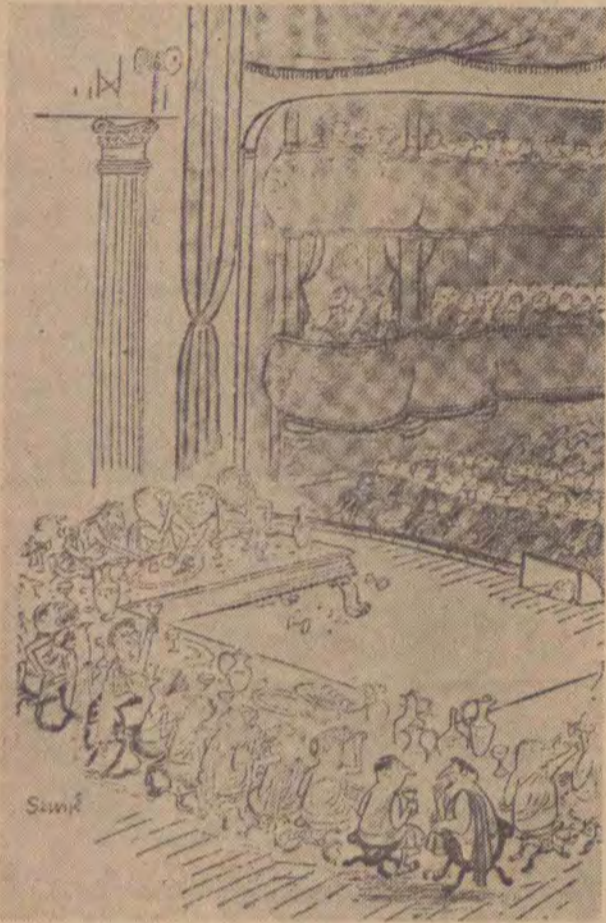
Staliśmy osupiali ze zgrozy i milczący. Przez głowę moją przelatywały tysiące spletanymi, oszalałych myśli. Mogłem sobie wiele rzeczy wyobrazić, ale nie to, że Aspazja czy Aspazje nie były prawdziwymi kobietami z krwi i kości. Sądziłem, że te wszystkie inne Aspazje to tylko znakomitych dobór i charakterystyka. Tak mi się przynajmniej wydawało. Od początku miałem różne wątpliwości, lecz nie mogłem wątpić ani przez chwilę, że Aspazja jest żywym organizmem. Smak jej ust, zapach, ciepło i rozkosz jej ciała przenikały mnie jeszcze do głębi.

— Nienawidzę tej przeklętej dziewczki! Tej czarownicy! — ryknął admirał wyrażając pięści. — Nienawidzę... gardzę... podziwiam... Kocham! Wierzę i nie wierzę! Skąd pewność, jakie dowody, że to prawda?!

— Posłuchajcie więc — rzekła Latona swoim starczym, trzeszczącym głosem. — Dokończę wam dzieło Marsa... Mówiłam wam już o tym, że postęp robotów marsyjskich polega przede wszystkim na tym, że najdoskonalsze roboty to senheny... i to przede wszystkim należące do najwyższej klasy, bo i wśród nich jest pewien podział, pewna hierarchia — wytwarzają jeszcze lepsze, jeszcze doskonalsze. Setki i tysiące lat gromadzą doświadczenia, zbierają fakty, robią próby, eksperymentują, porównują, zastanawiają się, wyciągają wnioski... i ciągle po trosze posuwają się naprzód. Czas dla nich nie istnieje, więc się nie śpieszą. Zawsze jakiś najwyższy stojący senhen jest dla danego okresu najdoskonalszy — i on kieruje sprawami Marsa. Stoi na czele wiedzy całej elity — tych stu senhenów, bo to oni tworzą i gromadzą cały ten materiał. Przy czym wraz z całą grupą jak gdyby przetwarzają sam siebie i dźwigają w tym rozwoju wciąż wyżej. Jak wiecie, senheny, a częściowo i admany, to nie tylko czysta myśl matematyczna i techniczna, to również pewne życzenia, pewne pragnienia mające na względzie własny interes; można by to nazwać — uczucia egoistyczne i uczucia estetyczne. Nie chcą być maszynami, nie chcą być „martwi”, chcą być „organiczni” i „żywi”. Wstydzą się tego, czym są. Nie wstydzą się swej myśli, swej wiedzy, ale wstydzą się swego „ciała”, tych różnych mechanizmów. Marzą o tym, aby maszynę przekształcić w organizm. Na początek chcą być częściowo organiczni, a częściowo mechaniczni, co jest bardzo dziwnym pomysłem. Robią niezliczone doświadczenia, i nas, ludzi, zmuszają do współpracy.

Ostatnie przemówienie Aspazji było antyludzkie, ale nie było prawdziwe. Nie powiedziała tego, jak bardzo my imponujemy swoim „życiem” i nawet swoimi namietnościami. W stosunku do nas cierpią jak gdyby na kompleks niższości. Nienawidzą nas i podziwiają, chcą nas ciągle naśladować. My jesteśmy, że tak powiem — „przyrodzeni”, „naturalni”, stworzeni przez organiczne siły świata, a oni są „wtórni”, „sztuczni”, stworzeni przez genialne pszczoły, które okazały się od nich słabsze i którymi głęboko gardzą. Aspazja jest wściekła z powodu tych bomb. Jest to jak gdyby rywalizacja między tymi mądrymi maszynami a nami — ludźmi. Tak jest dziś i tak było zawsze.

(D. c. n.)



— Widziałem Duranda. Jest statysta w sztuce „Lukrecja Borgia”. To jest sztuka! Co wieczór podają zakąskę, pieczywo, jarzyny, kompot lub tort!



— My tu gadu, gadu, a ja mam jeszcze to wszystko posprzątać.



— Skończ tę głupią zabawę z kamykami, wracajmy do wozu i jedźmy!

SEMPE

albo

WIELKI ŚWIAT i MAŁY CZŁOWIEK

Rzadko trafia się humorysta, którego każdy rysunek można łatwo poznać, nawet wtedy, gdy nie zapatrzy go nazwiskiem. Trudno zachować oryginalność pomysłów i sposobu rysowania, gdy ma się tysiące konkurentów. Na pewno udało się to francuskiemu humorysty Sempe.

Staly współpracownik „Le Rire”, „Ici Paris” i „Paris Match”, bardzo często drukuje swoje żarty w magazynach angielskich, głównie w „Punchu” i „Lillipucie”. Nie należy jednak do szczególnie płodnych rysowników, widać od razu, że Sempe bardzo starannie selekcjonuje swoje pomysły i publikuje tylko najlepsze.

Na czym polega oryginalność Francuza? Czy różni się od innych humorystów? Można zauważyć już na pierwszy rzut oka, że Sempe ma wyraźne „ciągociki do pejzażu”. Ale stwierdzenie, że rysuje zabawne perypetie swoich bohaterów w szeroko rozbudowanej scenarii — to jeszcze niewiele tłumaczy.

Rzecz w tym, że dla ogromnej większości humorystów, pejzaż jest tylko mało ważnym tłem dla pierwszoplanowej, żartobliwej sytuacji. „Nie gra” dramatycznie, pozostaje zaledwie z grubszą naszkicowaną parą drobnymi szczegółami. Spełnia jedynie funkcję informacyjną.

Nieliczni tylko rysownicy wykorzystują tło w inny sposób. Charles Addams poprzez scenę i dialogi między ludźmi stają się zabawne dzięki powiązaniu albo też kontrastowaniu z otoczeniem. Architektura i pejzaż są równorzędnymi partnerami ludzi.

Przez staranność rysunku, unikanie karykaturalnej deformacji pogłębia Sempe komizm swoich żartów; buduje kontrast między wielkim światem a małymi ludźmi, którzy mówią i robią różne śmieszne rzeczy...

J. W.



— Co pan robi w mojej kabine?!

LUNAPARK

Nr 9. 5. X. 58 Rok I

KALENDARZYK TYGODNIA:

Dziś Placyda. Dzień jak co dzień, ale nie dla wszystkich ma jednakowy przebieg. Dla jednych rozpoczyna się o godz. 5 rano, kończy się o godz. 2 po północy, dla drugich zaś rozpoczyna się o godz. 10 przed południem, kończy o godz. 4 rano (w „Malinowej”, „Monopolu”, „Europie” etc.). Według komunikatów MO, w dalszym ciągu na 1 sek. przypada jedna kradzież mienia społecznego. W ciągu dnia dziesiątego, dnia jak wszystkie dni roku, do kamieni przynoszących szczęście należą drogocenne kamienie (ze szczególnym podkreśleniem brylantów najcenniejszej wagi i najpiękniejszego szlif), do kamieni zaś przynoszących kłopoty, zalicza się kamienie żółciowe.

GYMNASTYKA NA DZIEŃ DOBRY: rąbanie drwa na podpałkę i przynoszenie wody; stanie w kolejce za mlekiem i pieczywem; krótka przepierka bielizny z wczorajszego moczenia i moczenie nowej bielizny do dzisiejszej przepierki wieczornej; zaprawa mięsni lydek do stania w kolejkach za wekami i szklankami; rozbieg do przedbiegu po pożyczki.

ODTUSZCZAJMY SIĘ.

W poprzednim numerze „Lunaparku” podaliśmy dietę odchudzającą cą według Bantinga-Harveya. W numerze bieżącym zapoznajmy się z dietą Epstein (pochodzi ona z T. Brugsch-Spez. u. Therap. Inn. Krankheit, Kraus i Brugsch; Urban § Schwarzenberg, Berlin 1915): Śniadanie: 1 duża filiżanka mocnej herbaty bez mleka i cukru, 5 dkg. chleba przyrumienionego z 20 do 30 g. masła. 2) Obiad: rosół (ze szpikiem w postaci stałej lub jajem albo innym odpowiednim dodatkiem); 120 g do 180 g gotowanego względnie pieczonego mięsa, ze szczególnym uwzględnieniem gatunków tłustych (można je zawsze dostać w MHD), jarzyny, również puree z jarzyn strączkowych. Na deser świeże owoce (poziomki, czereśnie, głównie jabłka). Jako kompot puree z jabłek itp. bez cukru. Salały. Jeko napój 2 do 3 kieliszków lekkiego wina białego. 3) Kolacja: 1 filiżanka herbaty, 1 jajko lub trochę pieczeni albo szynki z tłuszczem, kiełbasy, ryby, około 30 g białego pieczywa (masła mniej lub więcej), zależnie od tego, ile tłuszczu zawierało mięso); troch ser a i owoców świeżych, suszonych lub gotowanych.

Ta niekosztowna dieta w połączeniu z „Gimnastyką na dzień dobry” oraz dwugodzinnym wykreśnianiem bielizny bądź czterogodzinnym wyzyskaniem na wyżymaczu o nie naoliwionych osiach, pozwala nam w ciągu dwu miesięcy pozbyć się 8 kg podściółki tłuszczowej. Czytelniczka, która doznała na sobie błogostawionych skutków tej diety, pisze do nas, że już po sześciu tygodniach jej stosowania suknie na niej leżały jak worki, w skutek czego nie musiała swego budżetu jednorodzinnego obciążać wydatkami na przetworzenie swych sukienek na modne worki. Pojechamy masie tłuszczochów tę dietę. W diecie dla ubogich mięso ryb zastępujemy mięsem dorsza; cielęcine — baraniną, wieprzowinę — koniną; wino gronowe — owocowym, masło — starą słoniną po 23 zł za kg; puree z jarzyn strączkowych z wielkim powodzeniem zastępuje przecier z kapusty.



Poniżej zamieszczamy trzy wypowiedzi odchudzającej się według metody Ebsteina czytelniczki. Mimo swych osiemnastu lat ważyłam 82 kg. Wszyscy oglądali się za mną po ulicach. Mówiono o mnie, że żyję na „szerokiej stopie”. Już po trzech miesiącach porównywałam mnie do Wenus medycejskiej.

Po 4 mies. mama stwierdziła, że jestem chuda, jak śmierć angielska, lecz innego zdania był mój narzeczony, z którym natychmiast po zakończeniu kuracji stanęłam na ślubnym kobiercu. Tylko dwa razy

w życiu miałam taką linię: po diecie Ebsteina i po przebyciu tyfusiu.

Z cyklu:

EROTYZM W PROZIE

Dalszy ciąg adaptacji filmowej — powieści „Trędowata”:

KAMERDYNER BOMBA (na stronie): — I jeszcze raz wam to mówię, psiekrwie, Ordynatowa Stefa musi być moja, żeby żabami nawet było! (Omiata pokój malinowy, rozmieszcza sześciornienne świeczniki w gabinecie cytrynowym, podnosi kurtynę. Zza kurtyny wylania się drzewo genealogiczne Michorowskich. Na wykresie grubymi krechami podkreśleni są: Adam i Ewa, Tutankhamen, Nabuchodonozor, Paleologowie, książęta ormiańscy, książę Wiśniowiecki, Hugon Kapet, hrabia Paryża, Maria Antonina, itd., aż do Waldemara Huberta



Rościsława Radomyjska Napoleona itd. Michorowskiego, księcia na itd., ordynata etc. i Stefanią dwójga imion z domu „De Mniejszo- to”.

ARCYKSIĄŻE CYMES (do księcia Wincencego Tobiasza Tomasza Macieja Michała): — Wszystkie szlacheckie nazwiska dwusylabowe są starsze od trzechsylabowych. Dlaczego na tej tablicy jest odwrotnie? (Do Ordynatowej): — To jest piękne.

(Przed drzewo genealogiczne wchodzi śpiewające dziewczęta w atlasach i syją płatki róż i kameli. Kamerdyner Bomba, korzystając z zamieszania, puszcza na łysinę Cymes a kropkę stearyny).

ZBLIŻENIE: Rozkoszyczna twarz Marszałka Dworu.

Śpiew dziewczę w atlasach: Bo miłość to skrzydło motyla, co wiosny chniecie umiła, słowików śpiewy wydzwaniania o bezpamięci kochania.

Ela li, la la, lan le, O bezpamięci kochania.

(Poprzez przezroczyłą suknie Ordynatowej Stefani widać jej kształtne nogi).

Dcn.

ODPOWIADAMY NA LISTY

Ciastusia Cepheldowa, Kraków. Wiślana 1.

Miała pani rację, zwracając uwagę swemu szefowi, który w swym dwugodzinnym przemówieniu czternaście razy użył słowa „wygrazywując”, miał wygrazając, cztery razy „komisariat”, miał komisariat, dziewięć razy „centometr”, miał centymetr. Szef dobrze wie, jak się należy wysławiać; stosując lokalne brzmienie niektórych słów (przecież tak w Krakowie nie mówią), starał się być bliższym mas, kłopotował masę, starał się sprawić wrażenie, że on też jest takim, co mówi „szroda” zamiast środa, „rzeznik”, miał rzeźnik. Szef należy do kategorii farbowanych lisów. Należało ksykać w czasie przemówienia. Pozdrowienia dla Babel, która dietę Bantinga-Harveya powiesiła sobie nad łóżkiem. Wiele szczęścia dla młodej pary. Dziękujemy za zdjęcie Pani w sierniczym gimnastycznym. Zamieszczamy je. (Red.)

(OD REDAKCJI: z przyczyn techn. kolejnego zdjęcia piękności niewieściej, typowanej przez jury plastyków do konkursu „Miss Lunaparku 58”, nie zamieszczamy. Zamieścimy je w następnym nrze).

(LUNAPARK redaguje ZYGMUNT FIJAS. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować: „Ogłoszy”, z adnotacją „Dla Lunaparku”).

O koniec wojny podjazdowej

Kolegiata w Łęczycy



Zburzona kolegiata w Tumie przed odbudową — zdjęcie ze zbiorów Archiwum Powiatowego w Łęczycy — dar ob. Edwarda Majewskiego

Odbudowana z niemalym nakładem środków kolegiata w Tumie po prostu pęka. Historia przedstawia się tak: kolegiata została zniszczona we wrześniu 1939 roku, w czasie walk nad Bzurą. Najpierw wojsko polskie usiłowało z armat siedzącego na wieży niemieckiego obserwatora, potem nadleciały hitlerowskie samoloty i zbombardowały zabytek. W czasie wojny obiekt nie był ratowany. Podobno Niemcy zamierzali go rozebrać i użyć do budowy drogi. Ktoś im podobno jednak szepnął, że to zabytek, który może posłużyć propagandzie Tysiąclecia Rzeszy, zostawiono go więc w spokoju. Niemcy coś tam podobno posmołowali i — to wszystko.

Po wojnie, gdzieś od 1947 roku (jałowe spory między władzami kościelnymi a konserwatorskimi o to, czy i jaki był udział w odbudowie od 1945 roku, warto doprawdy zarzucić), zaczęła się powolna odbudowa kolegiaty na koszt państwa.

Kolegiata pochodzi z XII wieku i jest jednym z najwspanialszych zabytków sztuki romańskiej w Polsce. Nie odbudowano jej w kształcie, jaki miała w 1939 roku. Z zewnętrznej jej oblicza usunięto późniejsze naleciałości gotyku, obniżono nieco wieże, podwyższono baszty. Odbudowa zewnętrzna zakończyła się w 1954 roku. Wewnątrz kolegiaty odkryto w zachodniej absydzie XII-wieczny fresk i częściowo odsłonięto. Aby uchronić wnętrze od pożarów, położono betonowy strop i dodano betonowe przepierzenia w czterech basztach i wieżach. To znacznie obciążało nadwyróżone mury.

Od 1954 roku wewnątrz kolegiaty i w obrębie cmentarza rozpoczęli badania archeolodzy. Odkryli oni wewnątrz kolegiaty jedno z najstarszych opactw w Polsce. Jest to opactwo pochodzące z XI wieku, a więc z początków państwa polskiego, opactwo Najświętszej Panny Marii. Założył je, być może, jeszcze św. Wojciech w końcu X wieku. Taką wersję wysuwają „miejscowi historycy”. Odkrycie było sensacyjne — o

opactwie tym trafiły się dotąd jedynie niepewne wzmianki pisane. Trudno było na ich podstawie dokładnie umiejscowić opactwo. Archeolodzy odsłoniли jego mury i odesłali w 1956 roku. Wykopy prowadzone były miejscami niżej fundamentów na cmentarzu, poza kolegiatą, ziemię przekopano „na krzyż” i wzruszono. To znów osłabiło mury.

W latach 1956—57 i aż do chwili obecnej, prace przy odbudowie kolegiaty stanęły. Pozostawało to prawdopodobnie w związku z wydarzeniami w kraju, zastrzeżeniem reżimu oszczędnościowego, a także związane było z chorobą kierownika odbudowy, inżyniera architekta Jana Koszycyca-Witkiewicza (który już przed wojną był konserwatorem tego zabytku). W tym czasie dyskutowano, czy odkryte relikty opactwa na powrót zasypać, czy też przykryć płytą, pozostawiając cztery wiazy w celu udostępnienia odkrycia zwiedzającym. Sprawa przeciągała się wręcz biurokratycznie, a do chwili jej załatwienia wszelkie inne prace zostały wstrzymane. Relikty opactwa pozostały odkryte, wykopy — jak już wspominałem — sięgają niekiedy niżej fundamentów.

Kolegiata w Tumie leży na terenach podmokłych. W bieżącym roku, na skutek znacznych opadów, woda podskórna dostała się do wnętrza kolegiaty i zalala odsłonięte mury opactwa. Ponieważ zaalarmowane władze konserwatorskie nie przybyły, wodę wypompowała straż pożarna z Marynek w obecności proboszcza parafii Tum. Zarzysowały się mury kolegiaty, niszczyły i kruszyły się zaprawa reliktyw opactwa, runął wczesnoromański ołtarz w zachodniej absydzie (ołtarza romańskiego nie należy wyobrażać sobie na wzór tradycyjnego wysokiego ołtarza z rzeźbionymi aniołkami); jest to po prostu płyta na dość wysokim postumencie, a kapłan odprawiał na tym ołtarzu mszę zwrócony twarzą do ludu — o ten przywilej odprawiania mszy „twarzą do wiernych zabiegał zresztą kolegiata i obecnie), wybrzusza się i grozi odpadnięciem XII-wieczny fresk. Wyniknęła sprawa

drenażu wód podskórnych z najbliższego otoczenia kolegiaty.

Zaalarmowana tym stanem rzeczy, przybyła 17 czerwca br. do Tumy komisja sejmowa w składzie: posłowie — prof. Hryniewiecki, Ajnenkiel, Kononowicz i Maniak, a towarzyszyli im: przewodniczący Komisji Kultury Woj. RN — Roman Keczmarek, kierownik Wydziału Kultury Woj. RN, konserwator wojewódzki, mgr Zbigniew Ciekliński i inni. O konferencji tej nie uprzedzono i nie zaproszono na nią proboszcza parafii Tum i przedstawicieli społeczeństwa łęczycyckiego. W czasie konferencji ustalono, że potrzebna jest natychmiastowa subwencja, sięgająca miliona złotych, postulowano także zakończenie prac do 1960 roku. Zgodzono się także na wyznaczenie w porozumieniu z władzami kościelnymi generalnego pełnomocnika do spraw odbudowy i wyposażenia kolegiaty. Jest to ostatnia pocieszająca wiadomość w tej sprawie.

Trzeba jednak od razu powiedzieć, że wyasygnowanie okazałej sumy na odbudowę kolegiaty nie załatwi niczego, jeśli nie zostaną uzdrowione stosunki między władzami kościelnymi a konserwatorskimi. Sprawa niszczenia kolegiaty nie miałyby tak tragicznych akcentów, gdyż mogło się to zdarzyć i w lepszych warunkach, gdyby nie toczyła się wokół niej istna wojna podjazdowa, wyrządzająca jedynie szkodę zabytkowi. Dążenie konserwatorów do odsunięcia władz kościelnych od wpływu na odbudowę zabytku uważam za naturalne, a podejrzania, że władze kościelne wysuną na pierwszy plan interes kościoła, nie zaś zabytku — też wydają mi się zrozumiałe. W samym regionie łęczycyckim znajduje się dosyć przykładów, uzasadniających te podej-

zenia: w ostatnich czasach proboszcz w Uniejowie zniszczył zabytkową polichromię i nie poniósł żadnych konsekwencji, oszczędził też zabytkowy kościół ksiądz w Budzinku. Nie chodzi zresztą nawet o brak szacunku dla zabytku — w takich wypadkach dobry organizator potrafi wyrządzić równe szkody. Moim zdaniem, kolegiata powinna zostać odbudowana przez władze konserwatorskie na koszt państwa, przy udziale finansowym kościoła i konsultacji z władzami kościelnymi. Kościół jednak musi to traktować jako przejaw stosowania zasady współistnienia, nie zaś jako formę świętopietrza.

Ostatnio sakralność kolegiaty została oficjalnie uznana — i słusznie. 10 kwietnia 1957 roku administracja kolegiaty została protokółarnie przekazana proboszczowi parafii Tum, księdzu kanonikowi Władysławowi Chmielowi, a wnioski komisji sejmowej również mówią o konsultacjach z władzami kościelnymi. Trzeba podkreślić, że ksiądz Chmiel jest obeszany ze sprawami zabytku, wykazuje dużą znajomość i zrozumienie rzeczy — on pierwszy np. podniósł (notabene bez odezwy), że samo przykrycie reliktyw opactwa płytą ich nie zabezpieczy, lecz potrzebne jest także ich zeskalenie — stara się też oddzielić sprawę ochrony zabytku od kwestii przy-

stosowania go do celów liturgicznych (które to sprawy konserwator wojewódzki, niestety, gmatwa). Dla uniknięcia jednak dotychczasowej walki księdza o zlecenie na pracę i dalszych nieporozumień między najbardziej stronniczymi stronami, tzn. Radą Parafialną i konserwatorem wojewódzkim, może lepiej byłoby pomyśleć o przyznaniu odbudowie kolegiaty rangi odbudowy Wawelu, tak jak to było w pierwszych latach powojennych. Konieczne jest również stworzenie czegoś w rodzaju ośrodka odbudowy kolegiaty, z siedzibą na miejscu i uzależnienie go tak pod względem dyspozycyjnym, jak i wykonawczym, bezpośrednio od Ministerstwa Kultury i Sztuki (b. pośrednictwa Urzędu Wojewódzkiego Konserwatora), do chwili zakończenia prac i przekazania kolegiaty władzom kościelnym. Trzeba też tutaj z niepokojem stwierdzić, że mimo upływu trzech miesięcy od wizyty w Tumie sejmowej komisji kultury, wbrew jej dezyderatom, generalny pełnomocnik do spraw odbudowy kolegiaty nie został jeszcze wyznaczony. Cóż przeszkadza w załatwieniu tej sprawy na najbliższej sesji Sejmu? Sytuacja o tyle jest jeszcze niekoptliwa, że zbliża się Międzynarodowy Kongres Sztuki Romańskiej.



Widok kolegiaty po odbudowie. Foto: Jan Gierliński

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

V?

stytucja. Konstytucja skrojona na jego miarę. Konstytucja, która przekreśliła — i to wszystko, co wiązało się z pojęciem republikańskiej Francji, zmniejsza do minimum znaczenie zgromadzenia narodowego, daje nieograniczoną władzę jednemu człowiekowi, godzi w partię komunistyczną, która on, prezydent znać może za działającą przeciw interesom Francji i zdelegalizować.

To są realia znane już dziś.

OSKARŻAM CIĘ,
GUY MOLLET...

Gdyby kiedyś odbył się sąd nad grabarzami francuskiego republikaństwa, prokurator oskarżył by musiał przede wszystkim Guya Molleta. Na ławie oskarżonych musiałby zasiąść właśnie on, wysoki, chudy, o

ascetycznej twarzy przywódca francuskich socjalistów. To on, wysunięty w 1945 r. przez lewe skrzydło partii, uczynił z niej bezkształtny twór, miotający się między niebezpieczeństwem komunistycznym i niebezpieczeństwem faszystowskim. To on uczynił wszystko, by jego partia, SFIO wsparła prawicę. To posłowie jego partii głosowali za usunięciem komunistów z rządu w 47 roku, to oni głosowali przeciwko roznowom z Ho-Szi-Min-tem, to Guy Mollet, jako premier, zdecydował się na awanturę sueska, tak oplakaną w skutkach dla Francji.

Socjaliści francuscy, którzy w ciągu minionego 14-letniego spazalizowali wolę lewicy, będąc partią konsekwentnie antykomunistyczną uchwycili się generalniego spaszczu gen. de Gaulle'a. „Opatrznościowi ludzie potrzebują pomocy. De Gaulle na swojej drodze spotkał Guya Molleta” — pisał „France Observer”. I chociaż jestem jak najbardziej daleki od porównywania de Gaulle'a z Hitlerem i Francji roku 1958 do Niemiec roku 1933, to jednak warto przypomnieć drogę niemieckiej socjaldemokracji, która wówczas, gdy Hitler dochodził do władzy odrzuciła wezwanie komunistów w „sprawie strajku generalnego. Teoria „najmniejszego zła”, której holdowali również niemieccy socjaldemokraci nadała im haniebną rangę w historii.

Sartre w swojej książce „Drogi wolności” podaje taki

opis powrotu z Monachium francuskiego premiera Daladiera. „Samolot kreślił szerokie kręgi nad lotniskiem Le Bourget, smola czarna i falująca pokrywała je w polowie. Leger nachylił się ku Daladierowi i zawołał. — Ale tium! Daladier spojrzął z kole; odezwał się po raz pierwszy od odlotu z Monachium: — Przyszli skąd mi mordę. Leger nie zaprotestował. Daladier wyruszył ramionami: — Rozumiem ich. — Wszystko zależy od służby porządkowej — westchnął Leger.

(...) Samolot wylądował. Daladier wyszedł ociągając się i postawił nogę na drabinie; był siny. Podniósł się ogromny krzyk, ludzie puścili się podem przerywając kordon policyjny, wyracając bariery; (...) krzyczeli: „Niech żyje Francja! Niech żyje Anglia! Niech żyje pokój!” Nieśli standard i bukiety. Daladier zatrzymał się na pierwszym szczeblu drabinki; spojrzał na nich oshupiały. Zwrócił się ku Legerowi rzucił przez zęby: — G...!”

Wówczas przed 20 laty głos francuskich komunistów potępiający Monachium utonął w falach miesięcznego entuzjazmu. Droga do katastrofy drugiej wojny światowej została ułożona.

Dziś głos francuskiej partii komunistycznej i tych nielicznych kół poza nią, które ostrzegają i ostrzegają przed niebezpieczeństwem faszystyzmu we Francji zagłuszony został przez przyłaczających zgiełk a-probaty dla nowej konstytucji gen. de Gaulle'a.

Historia w sprawie Monachium przyznała pełną rację komunistom. Historia uczy, że większość nie zawsze robi dobrze i nie zawsze ma rację.

JACEK LEBEN

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 99, Tel. 344-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł
Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17, Konto PKO — Łódź 7 — 6-579
z zaznaczeniem na „Ogłoszy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2828 IX. 58. M-4.

HISTORIA WIELKIEJ PRZYJAŹNI

Film produkcji amerykańskiej „The Brave One” zaliczyć można do gatunku filmów, o których mówi się, że wzruszają. Tematycznie jest on spokrewniony z „Białą grzywą” Lamorisse’a — bo i tu i tam para głównych bohaterów jest dziecko i zwierzę, i tu i tam występuje ten sam problem przyjaźni, chociaż u Lamorisse’a decydującą rolę gra nastrój, poczują i metafora, a akcja filmu, o którym będzie mowa potraktowana została przez realizatorów jak najbardziej konkretnie.

Na akcję tę składają się dzieje ośmioletniego meksykańskiego chłopca Leonarda i jego czworonożnego przyjaciela Gítana. Gítano wszedł do rodziny zupełnie niespodziewanie. Razem ze swą matką, piękną, czarną krową, został ofiarowany ojcu Leonarda, gdy ten uratował życie jednemu z przyjaciół farmera — swego chlebobdawcy.

Leonardo i Gítano razem wychowywali się, rośli i bawili. Ale podczas gdy Leonardo był wciąż tylko małym chłopcem — z Gítana zrobił się olbrzym i prawdziwie bycza potęga. Stało



się dla wszystkich jasne, że taki byk powinien iść na arenę — i to za grube pieniądze. W Meksyku bowiem podobnie jak w Hiszpanii walki byków są ulubioną rozrywką mieszkańców.

Intendent, zawiadujący majątkiem farmera naprzód starał się namówić chłopca na oddanie zwierzęcia, a gdy nie udało mu się, próbował groźby, postawił wykrzesanie Gítana i ubić świetny interes.

Nie pomaga ucieczka w góry. Gítano zostaje schwyty i sprzedany na arenę.

Zrozpaczony małeć za wszelką cenę postanawia ratować życie przyjaciela. Porusza wszelkie możliwe sprężyny — wszystko na próżno. Śmierć Gítana zdaje się być nieodwołalna. Chłopak dociera jednak do najwyższych instancji. Dostaje audiencję u samego prezydenta Meksyku. Tam zostaje zrozumiany i wraca ze specjalnym dokumentem potwierdzającym czarno na białym jego niezaprzeczalne i jedyne prawo do Gítana.

Zbliża się kulminacyjny moment filmu. Leonardo wdźwiera się na arenę, na której walczą trzykrotnie już ranne zwierzę. Ale sprawiedliwość staje się zadość. Gítano jest uratowany, należy znowu do małego, który jest jego panem i najbardziej wypróbowanym przyjacielem.

Tyle o samej treści obrazu. Drugim równie godnym uwagi problemem jest trafny dobór i gra aktorów, a przede wszystkim odkrycie

przez twórców filmu nowego cudownego dziecka ekranu. Mały Michel Ray odgrywający rolę Leonarda daje prawdziwy popis dziecięcej gry. Wzrusza naturalnością i przeżywa głęboko niedole i zmagania Leonarda, może i dlatego, że mały byczek Gítano od pierwszych dni realizowania filmu stał się jego wiernym i oddanym przyjacielem! Opracował

A. J. PIOTROWSKI



Rys. Ibis-Gratkowski



(Dokończenie)

Potem rzemiosło. Ale tu już chyba jeden Clair na świecie, bo nikt więcej. Jeden Clair, tylko on, umie znaleźć sposób pokazania wątku sensacyjnego bez wnikania w mechanizm szczegółu.

Oto w finale „Porte des Lilas” dwaj ludzie wchodzi w uliczkę, z której wyjdzie tylko jeden. Między kamerą a aktorami staczający walkę jest płot. Z tych dwóch ludzi jeden jest bezbronny, a drugi uzbrojony i przyuczony do zabijania. Który zwycięży? Gdyby ktoś inny, nie Rene Clair, pokazał był to rozwiązanie bez kunsztownej filmowej dokumentacji, bez zdobycia minimum prawdopodobieństwa, uznalibyśmy to za skandal i kpinę z widza. Clair to potrafi zrobić, jemu się to wybacza. Jego rozwiązanie, acz nieprawdopodobne, istnieje już wcześniej, w skrytych marzeniach widza. Dlatego nikt nie protestuje. Tu jest analogia pomiędzy starożytnym warsztatem Claira a metodą Leana. „Most na rzece Kwai” także się kończy arcyprawdopodobnie, ale ten finał wzbudza protesty tylko u tych ludzi, którzy nie widzieli filmu! Mechanizm obu finałów oparty jest na tej samej zasadzie: reżyser spełnia wolę widza nawet za cenę prawdopodobieństwa — a rzecz najbardziej serio staje się

nagle niby bajką, czynioną z przymrużeniem oka.

Istnieje sto sposobów wprowadzenia do filmu piosenki, wszystkie są jednak oparte na metodzie „Kozaków kubańskich”. Piosenka jest zamkniętą wstawką, mogącą pojawić się dosłownie w każdej chwili, zależnie od inwencji montażowej reżysera. Ale „Kozacy kubańscy” to symbol, proście go nie traktować dosłownie. Na dobrą sprawę cały szereg filmów wykorzystuje tę estradową niejako metodę wprowadzając piosenkę jako atrakcję programu. Bohaterka „Bez adresu”, przypadkowo znajdując się w klubie słucha śpiewu Juliette Greco. A więc sto sposobów opartych na tej samej zasadzie i sto

pierwszy sposób Rene Claira. Cuda się dzieją: w „Porte des Lilas” Georges Brassens śpiewa wtedy, gdy widz ma ochotę. Nie znam szerszego sposobu wplecenia piosenki w film.

Można długo mówić o idei „Porte des Lilas”, przestałby jednak dopisywać ideę do filmu. Clair znakomicie rozumie się z widzem, bez pośrednictwa sprawozdawcy. Trzeba natomiast — zgodnie ze zwyczajem — wskazać palcem przynajmniej jeden przykład reżyserii. Wystarczy w tym celu wziąć pierwszą z przegu scenę z filmu Claira. Choćby tę, gdy Juju i Artysta udają się do kochanki Pawła, żeby odebrać jego rzeczy. Otwiera tę scenę zdarzenie z konsjerżką. Artysta zostaje na ulicy, Juju wchodzi w sypialnię i odbiera walizki od kogoś niewiomego. Widać tylko rękę. Zaden reżyser nie oparłby się pokusie pokazania częściowo choć rozbranej kobiecy dla wrażenia, które zrobi ona na Juju Clair nie poszedł na łatwiznę. Nie pokazał kochanki Pawła, osoby nie istotnej dla rozwoju dramatu. Juju schodzi z walizkami na dół i znowu mamy zdarzenie z

konsjerżką, zamykające pierwszy element sekwencji ładnie pomyślanym gagiem.

Gagi. Otóż to. „Porte des Lilas” nie jest monolitem bez pęknięć. I może właśnie charakterystyczny gag Claira zestarzał się najbardziej. Tym razem w „Porte des Lilas” — Rene Clair nie powtarza dawnych gagów i dawnych sytuacji. Stara się jednakowoż znaleźć inne, utrzymane w tym samym gatunku. Clair — wesołek, ustępuje przy tym innemu Clairowi, opowiadaczowi smutnych paryskich bajek.

„Porte des Lilas”. Pod tym szyldem objawia się nam dawne kino w całej swojej świetności, pięknie, a zarazem dalekiej blaskom współczesnego filmu. Objawia się i wzrusza. Jak każde pożegnanie.

EDWARD ETLER

*) „Porte des Lilas”, film produkcji francuskiej. Scenariusz na podstawie powieści Rene Falleta („Kolej wokół Paryża”), reżyseria Rene Clair, zdjęcia Robert Lefebvre, muzyka Georges Brassens. Wykonawcy: Danny Carrel, Pierre Brasseur, Georges Brassens, Henri Vidal, Amédée i inni.

★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA



Dlaczego nie chodzę do kina? Trudno mi na to odpowiedzieć. Bo właśnie chodzę do kina, i to nawet bardzo często. Nieznacznie zmienię więc tytuł ankiety, nie: „dlaczego nie chodzę”, ale: „co mi przeszkadza, gdy chodzę”. A przeszkadzają mi trzy kinowe plagi, nie licząc spraw pomieszczeniowo - wentylacyjno - krzesłowo - amfiteatralnych.

Siedziałam kiedyś w pierwszym rzędzie balkonu — genialne miejsce, nikt nie zasłania, nikt nie przeszkadza. Ale było to w czasie, gdy kronika zmieniała się raz na tydzień. Szósty raz oglądałam więc tzw. aktualności. Dla rozrywki zaczęłam rozglądać się po sali i zauważyłam przedziwny, wężowy ruch, który wykonują głowy widzów. Palowanie zaczynało się w jednym z pierwszych rzędów, a kończyło na ostatnim. Stosunkowo blisko ekranu siedzieli trzej ludzie — dwóch panów i dziewczyna, w środku. Musiała to być dziewczyna niezwykle efektowna, gdyż panowie ci prześcigali się w dzieleniu się z nią uwagami. I tu leżała przyczyna owego tańca głów. Siedzący za miłą trójką wychylił się to w prawo, to w lewo, żeby cokolwiek zobaczyć — na ekranie oczywiście — i tak do ostatnich rzędów włącznie. Grupa zgranych przyjaciół lub nawet niewinna para, konsultująca się w trakcie oglądania obrazu — to kinowa plaga numer jeden.

To ci, którzy nie pochylają się do towarzyszących im osób, ale uwagi swoje wypowiadają pełnym głosem. Siedziałam niedawno obok takiego właśnie jegomościa. Komentował on wydarzenia rozgrywające się na ekranie i trzeba przyznać — dykcję miał nienaganną. Uspokajał też od czasu do czasu swego towarzysza: — Nic się nie bój, i tak go teraz nie zabiją. Dopiero potem, na dachu. Było to na tzw. filmie „gangsterskim”. Jakim — nie mogę zdradzić, bo „idzie” on właśnie w jednym z łódzkich kin.

A teraz trzecia, największa kinowa plaga. Plaga nr 3. Jest to sprawa żenująca. Sprawa niezwykle przykra. Chodzi mi o reakcję sali, reakcję — co tu dużo mówić — większej części naszej publiczności. Chodzą z zbiorowy śmiech i chichotanie na filmach takich jak „La Strada”, „Noce Cabirii” (Fellini bowiem szczególnie bawi), czy — wybaczenie przeskok — rodzimy film o obrońcach poczty gdańskiej. Na tym ostatnim widowisku szaleje. Przy każdym trupie i przy każdym strzale wybuch śmiechu — obojętne, czy na ekranie pada hitlerowiec, czy polski listonosz. Bractwo bawi się, jak na dobrym westernie. Jak nazwać takich odbiorców X Muzy? Tu przypomina się głosny w swoim czasie i niestety — wciąż aktualny felieton Juliana Tuwima o sugestywnym tytule: „Kinochamy”.

ELŻBIETA ZECHENTER



Takim scenom towarzyszy zawsze doping i głośne cmokanie...

★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA ★ ANKIETA

KORRESPONDENCIA

Oj, Panowie...

W 30 numerze „Odgłosów” na ostatniej stronie w „Ostatnim akcie” pióra A. J. Piotrowskiego czytamy z niemalym zdziwieniem, że Hitler dowodził wojskami, które „poczyniły spustoszenie w starej Europie i (ja-

koby) „kawalku Azji”. W jakiej Azji, kolego Piotrowski? Mniejszej? Przedniej? Centralnej? Albowiem według naszej wiedzy Hitler w Azji nie był. Wstrzymała go z jednej strony obrona Stalingradu, z drugiej — bitwa pod El Alamein. Bójcie się Boga, panowie, przeczytajcie trochę historii czy geografii i nie róbcie nam kłopotów dyplomatycznych! A. Z.



Już za tydzień

...Kazia, jak rok temu zaproponowała Karszewskiemu przechadzkę po Wiśle. Karszewski zgodził się i skierował swe kroki do drugiego pokoju, celem przebrania się w strój matynarski. W chwili gdy Karszewski odwrócił się plecami, Kazia szybko wyjęła rewolwer i strzeliła w plecy ukochanego...

Oto fragment autentycznego i nigdzie jeszcze nie publikowanego scenariusza. Za tydzień przedrukujemy bogatszy odcinek, stanowiący zamkniętą całość.

Autor omawianego felietonu wyjaśnia:

Przypominam o przekroczeniu przez zwiad hitlerowski pewnej rzeki na Kaukazie (bodajże Monycz), o działaniach okrętów podwodnych i krążowników pomocniczych na wodach azjatyckich i o puczu prohitlerowskim w Syrii. A zresztą rozeszło się o jedno słowo, które na moich oczach uległo w redakcji przekształceniu (z winy E. Etlera), Pisałem „poczyniły zamieszanie”, poprawiono na „poczyniły spustoszenia”, Mea culpa?

A. J. PIOTROWSKI